

Czas Kultury 6/2016

Czy kiedykolwiek
był czas, kiedy
wojna kulturowa
nie charakteryzowała
polskiego życia
publicznego?



Najsłabszy wśród mocnych i najpotężniejszy wśród słabych

z Brianem Porterem-Szúcsem

rozmawiają Krzysztof Hoffmann i Agata Rosochacka

Między naszymi krajami nie ma zbyt wielkiej różnicy

Pod koniec Pana najnowszej książki, *Poland in the Modern World* [Polska w świecie nowoczesnym], pisze Pan o Polsce jako bycie proteuszowym: „Podróżuję do Polski, tam i z powrotem, od prawie trzech dekad. Ilekroć powracam, czuję się, jakbym przyjechał do innego kraju, a przystosowywanie się do zmian wywołuje dezorientację”. Oto znów jest Pan w Polsce. Do jakiego kraju przyjechał Pan tym razem? Czy ma to związek z Pana badaniami?

Kiedy pierwszy raz przyjechałem do Polski w 1986 roku, nasze kraje dzieliła przepaść. Od tamtej pory obserwuję stałe pogarszanie się jakości życia w Stanach Zjednoczonych, podczas gdy Polska wkroczyła w fazę koniunktury tak dobrej jak nigdy dotąd. W wydawanym corocznie przez Program Narodów Zjednoczonych ds. Rozwoju *Wskaźniku Rozwoju Społecznego uwzględniającym nierówności społeczne* (IHDI, Inequality-Adjusted Human Development Index) Polska zajmuje w tej chwili 30. miejsce na świecie, zaledwie

dwa miejsca za USA. Stany w dalszym ciągu dysponują większym bogactwem całkowitym, bliskość obu krajów na liście może więc zaskakiwać. Jednak tak samo jak amerykańscy bogacze są bogatsi od polskich, tak nasi ubodzy są o wiele biedniejsi. Jeśli uwzględnić oba ekstrema, okaże się, że pod tym względem pomiędzy naszymi krajami nie ma zbyt wielkiej różnicy. Jest za to różnica w trajektorii zmian, ponieważ w Polsce jest coraz lepiej i lepiej. Nawet jeśli Polacy narzekają na złe drogi, zacośowanie obszarów wiejskich, nieproporcjonalne świadczenia emerytalne, wadliwy system opieki zdrowotnej, wszystkie te sprawy były w o wiele gorszym stanie. Za każdym razem, gdy moi rodzice spotykają się z moimi córkami, są zaskoczeni tym, jak bardzo urosły, podczas gdy ja z trudem dostrzegam ich rozwój, ponieważ dziewczynki widzę codziennie. Podobnie jest z Polakami, którzy doświadczają swojego kraju dzień za dniem; zmiany nie wydają się wam tak drastyczne jak tym, którzy wyjeżdżają i powracają.

+



Biorąc to wszystko pod uwagę, dostrzegam jednak pewne niepokojące tendencje, głównie w przestrzeniach polityki i makroekonomii. Według mnie główną przyczyną spektakularnych sukcesów Polski była dbałość o względnie zdrowy krajowy rynek konsumencki. Podczas gdy reszta Europy pogrążała się w potwornej recesji ze względu na błędną politykę oszczędnościową, Polska kontynuowała wzrost dzięki zagranicznym inwestycjom (głównie z funduszy UE) i lokalnym bodźcom do wydawania pieniędzy. Wraz z wysychaniem zasobów UE i ruchem polskiego rządu w kierunku oszczędności mających na celu utrzymanie budżetu, istnieje wyraźne ryzyko, że kryzys mógłby przyjść i tutaj. To zagrożenie otwiera przestrzeń dla ekstremistycznej demagogii, zwłaszcza (zważywszy na polską scenę polityczną) skrajnej prawicy. Sytuacja na Węgrzech stanowi dobitną ilustrację tego, jak łatwo sprawy mogą obrócić się przeciwko Polsce.

Mając na względzie tę kwestię, mój obecny projekt badawczy skupia się na historii ekonomicznej, jako że ten wymiar niedawnej przeszłości Polski ma żywotne znaczenie, a poświęcono mu stosunkowo mało uwagi. Mówiąc dokładniej, chciałbym lepiej zrozumieć źródła neoliberalnej, leseferystycznej ideologii ekonomicznej. Chociaż może się wydawać, że w 1989 roku przyszła znikąd, uważam, że miała głębsze historycznie polskie korzenie, które wciąż domagają się pełnego objaśnienia. Ten kierunek badań pozwoli nam lepiej zrozumieć zarówno wielki sukces Polski w ostatnich dekadach, jak i wyzwania oraz niebezpieczeństwa, które przed nią stoją.

Poprzednie pytanie zadane było nie bez kozery. Wcześniej książki poświęcił Pan katolicyzmowi w Polsce oraz XIX-wiecznemu polskiemu nacjonalizmowi. Z jednej strony jest to bardzo interesujące, ale z drugiej wywołuje swoisty dyskomfort: co Polska może zaoferować zagranicznemu badaczowi? Jej nacjonalizm i katolicyzm... A mówiąc trochę poważniej, Pańska najnowsza książka ma znaczący podtytuł, *Beyond Martyrdom* [Przekroczenie martyrologii]. Jak Pan myśli, co musi się zdarzyć w Polsce, aby możliwa była historyczna narracja nie-katolicko-narodowa? Czy jest to w ogóle prawdopodobne?

Zważywszy że moje dwie pierwsze książki były o nacjonalizmie i katolicyzmie, byłoby dziwne, gdybym teraz utrzymywał, że musimy się odsunąć od tych tematów. Ale myślę, że tak właśnie jest, i dokładnie o tym piszę w najnowszej książce. To oczywiste, że historia współczesnej Polski musi uwzględniać rolę Kościoła, a nacjonalistycznym ideologom trzeba poświęcić sporo miejsca. Ale zdecydowanie zbyt długo te dwa tematy dominowały nad całą resztą. W angielskich badaniach nad Polską można już zauważyć przesunięcie w stronę nowych tematów. Mistrzowska książka Nathana Wooda z 2011 roku *Becoming Cosmopolitan* zgłębiała życie powszednie w Krakowie przed pierwszą wojną światową i pokazywała, że na płaszczyźnie codzienności „sprawa narodowa” (*national question*) była znacznie mniej istotna, niż nam się zazwyczaj wydaje. Jasne, że ludzie mogli zostać wezwani do uczestnictwa w uroczystości narodowej, gdy pojawiła się ku temu okazja, ale na poziomie codzienności ekscytowały ich nowe tramwaje, fascynowały lokalne skandale oraz martwiły (lub cieszyły) planowane przesunięcia granic miasta. My, historycy, lubimy się skupić na nacjonalizmie, ponieważ inteligencja zawsze interesuje się zagadnieniami ideologicznymi. Ale nie musimy się godzić na taki sposób myślenia. Niedawna książka Longiny Jakubowskiej *Patrons of History* (2012) błyskotliwie pokazuje, w jaki sposób raczej wąsko

określona perspektywa oglądu przeszłości Polski była podtrzymywana na przestrzeni XX wieku. Poprzez demaskację mechanizmów, które do tego służyły, ukazuje także, w jaki sposób można przekroczyć tę starą narrację. Wartość nowego podejścia staje się wyjątkowo stymulująca, kiedy myślimy o PRL-u, ponieważ to pole było prawie całkowicie zdominowane przez historię polityczną. Myślę tutaj o takich fascynujących książkach, jak *Women, Communism, and Industrialization in Postwar Poland* Małgorzaty Fidelis albo *Unfinished Utopia* Katherine Lebow, które wyprowadzają nas poza wątek uciskanego narodu i oporu i starają się zbadać codzienne życie ludzi spoza elit politycznych i kulturalnych. Niektórzy badacze piszący po polsku również przyjmują podobne podejście, na przykład Małgorzata Mazurek albo Jerzy Kochanowski. To tylko parę przykładów inspirowanych nowych badań, które pokazują, że można niemal całkowicie uniknąć ograniczeń wynikających z nadmiernego przywiązania do kategorii „narodu”. Kiedy raz to uczynimy, okazuje się, że Polska jest jeszcze bardziej fascynująca, niż nam się wcześniej wydawało. W *Beyond Martyrdom* pisałem, że Polska jest „pośród najsłabszych z mocnych i najpotężniejszych wśród słabych, pośród najbiedniejszych bogaczy i najzamożniejszych biedaków. Ów stan «pomiędzy» sprawia, że Polska to użyteczna brama dla każdego, kto próbuje dostrzec tendencje i cechy charakterystyczne współczesnego świata w pełniejszym świetle”.

W przełożonej na język polski książce *Gdy nacjonalizm zaczął nienawidzić* pisze Pan o odmiennych perspektywach w badaniach nad endecją. Podczas gdy amerykańscy badacze o wiele szybciej gotowi są do porównań demokracji narodowej z faszyzmem, ich polscy koledzy wydają się niechętni wobec takich paralel. Czy takich punktów jest więcej? Czy analiza porównawcza może się tu przydać?

W latach międzywojennych było wielu Polaków,

zarówno po lewej stronie, jak i wewnątrz samej endecji, dostrzegających oczywiste paralele pomiędzy polskim nacjonalizmem a podobnymi ruchami w innych częściach Europy. Dzisiaj badacze tacy jak Grzegorz Krzywiec – w książce *Szowinizm po polsku* z 2010 roku – zarysowują podobne porównania bardzo silnie. A zatem to nie tylko badacze amerykańscy widzą owe powiązania. Mnie samego ta kwestia nie interesuje jakoś szczególnie, ponieważ wszystko sprowadza się do tego, jak zdefiniuje się pojęcia takie jak „faszyzm” czy „skrajna prawica”. Mogą być określone w sposób inkluzywny, który każdego (od Adolfa Hitlera z jednej strony, po Mikłosa Horthyego – z drugiej) będzie sprowadzał do tej samej orientacji ideologicznej. Można też orientacje te zdefiniować wężiej, uwypuklając jednostkowość nazizmu. Oba podejścia mogą być wartościowe; wszystko zależy od tego, jakie zadajemy pytania. Byłoby niedorzecznością twierdzenie, że endecja była całkowicie niepowiązana z szerszymi zjawiskami na europejskiej prawicy; byłoby również niewłaściwe zignorowanie wielu aspektów specyficznych dla polskiego przypadku.

Analiza porównawcza zawsze nastrocza problemów, jeśli zmierza do opracowania abstrakcyjnej kategorii, którą następnie chce się wtłoczyć w teorię nauk społecznych. Etykiety takie jak „faszyzm” czy „skrajna prawica” są użyteczne jako narzędzia heurystyczne, ale zwiódą nas na manowce, jeśli potraktujemy je jako spójne kategorie, które istnieją poza ich przeróżnymi realizacjami. Wielką zasługą dyscyplin akademickich, takich jak historia czy antropologia, jest to, że nieustannie przestrzegają, aby przykładać wagę do czasu i przestrzeni, inaczej mówiąc – do kontekstu. Projekty porównawcze są wartościowe wtedy, gdy pomagają nam ujrzeć to, co kontekstualne i przygodne; kiedy mają nas prowadzić do odcieśnionych abstrakcji – stają się nieskuteczne.

+

Historia Polski po 1945 roku dostarcza doskonałych przykładów na to, jakie korzyści i problemy niosą ze sobą badania porównawcze. Stanowczo zbyt wielu tekstom o PRL-u brakuje porównań globalnych, co prowadzi do tendencji przypisywania komunizmowi cech charakterystycznych dla całej epoki. Rzadko zadaje się pytania: co było naprawdę specyficzne tylko dla PRL-u, a co charakteryzowało obszar Europy Środkowo-Wschodniej? I – wreszcie – co było cechą wszystkich państw przechodzących z wczesnej do środkowej fazy industrializacji? Dla przykładu: wszędzie robotnicy stawali się ofiarami pracy na akord, opresyjnej skrupulatności kierownictwa, niekorzystnych warunków pracy, strasznych warunków zakwaterowania i brutalnego traktowania aktywistów związkowych. Kwestie te odnosiły się tak samo do Pittsburgha, Poznania, Nowego Jorku i do Nowej Huty (aczkolwiek w wypadku USA dotyczyło to okresu wcześniejszego). Często jednak narracje historyczne dotyczące PRL-u traktują owe sprawy, jakby były one elementami charakterystycznymi jedynie dla opresji komunistycznej. Nie przywołuję tych okoliczności po to, aby umniejszać potworny charakter życia w owych fabrykach, ale mylimy się, jeśli nie patrzemy na sprawę przez pryzmat kontekstu globalnego.

Na czym polega różnica pomiędzy amerykańskim a polskim znaczeniem słowa „nacjonalizm”?

Nie uważam, aby istniały jasne i spójne „amerykańskie” albo „polskie” definicje takich terminów, ponieważ znaczenia w obu językach zmieniły się w czasie i w odniesieniu do określonych sytuacji. W obu krajach użycie tego słowa w kręgach badawczych różni się od użycia kolokwialnego. Ale prawdą jest, że w Polsce pojęcie to nieco częściej wywołuje negatywne konotacje, z tego też powodu politycy prawicy często nalegają na posługiwanie się słowem „patriotyczny” zamiast





„nacionalistyczny”. To rozróżnienie można również często spotkać w Stanach Zjednoczonych. Amerykańscy politycy z łatwością nazywają się patriotami, ale dziwnie brzmiałoby, gdyby senator albo kongresman określił się mianem nacjonalisty. Jest jednak możliwe, aby po angielsku określić Gandhiego jako nacjonalistę, jednak bez żadnej insynuacji, że był szowinistą. Wyczuwam, że po polsku byłoby to trudniejsze. Powiedziałbym zatem, że użycie słów w USA i Polsce jest dosyć podobne, ale w sposobie, w jakim posługują się terminem użytkownicy anglojęzyczni, jest trochę więcej elastyczności.

Korwin-Mikke był dla mnie niespodzianką

Powróćmy do Pańskiej najnowszej książki. Pisze Pan w niej, że „nowa polska prawica [braci Kaczyńskich – red.] zamiast w Żydach rozpoznała podstawowych wrogów Polski w gejach, liberałach, Niemcach, Rosjanach i biurokratach z UE. Wzorce szkalowania i teorie spiskowe są dalej obecne, ale zostały przeniesione na nowe grupy”. Co w tym twierdzeniu wydaje się istotniejsze – potrzeba wroga czy też to, że wróg jest nowy?

To delikatna sprawa, ponieważ to, kto zostanie rozpoznany jako wróg, jest istotne dla każdego, kogo to określenie dotyczy. Eskalacja homofobii w Polsce ostatniej dekady była niekwestionowanie okropnym doświadczeniem dla całej społeczności LGBTQ. Bez wątpienia jest rzeczą dobrą dla Żydów, że otwarte przejawy antysemityzmu zostały mocno zepchnięte na margines polskiego dyskursu publicznego. Sądzę jednak, że istotne jest podkreślanie struktury myślenia wykluczającego, która jest niezmienna nawet wtedy, gdy zmianie ulega określony wróg. We współczesnej polityce prawie zawsze znajdzie się partia, która chce zidentyfikować wroga i oskarżyć go o wszystkie problemy świata. Faktyczna tożsamość wroga może się zmieniać, ale rama ideologiczna pozostaje ta sama. To bardzo istotne, ponieważ dotyczy elementarnej +

cechy współczesnego życia. Mechanizmy kapitalizmu są trudno dostrzegalne przez tych, którzy w „walce o przetrwanie” znaleźli się po stronie przegranych. Jeśli nie masz pracy, twierdzenie, że nie ma kogo winić, że to „siły rynku” wymusiły „redukcję zatrudnienia”, jest bardzo rozczarowujące. I nie wystarczy powiedzieć bezrobotnym, że powinni zdobyć nowe umiejętności, które są lepiej dostosowane do potrzeb rynku. Równie dezorientujące jest przeżycie erozji norm i praktyk społecznych, które kiedyś dawały sens czyjemuś życiu. Przez ostatnie 25 lat w Polsce więzy rodzinne uległy osłabieniu, czas wolny się skurczył, stare formy wypoczynku ustąpiły miejsca nowym modelom rozrywki i rzucono wyzwanie prawdom religii. Jest zrozumiałe, że ci, którzy doświadczyli takiej dyslokacji ekonomicznej i kulturowej, chcą znaleźć kogoś, kogo mogą winić za ich niepowodzenia; tym samym tworzą punkt wyjścia dla polityków, którzy wskazują „tych innych” jako odpowiedzialnych. Nie mówię tu nic nowego: Marks, Durkheim i inni myśliciele o różnych orientacjach ideologicznych poczynili podobne spostrzeżenia już wiek temu. W bliższej perspektywie i w odniesieniu do Polski David Ost rozszerzył to wniosowanie w doskonałej książce *The Defeat of Solidarity*. Twierdził tam, że gniew zawsze będzie istniał w ekonomii kapitalistycznej ze względu na wrodzone niestabilności i niekończące się transformacje, jakie ten system za sobą pociąga. Jeżeli politycy znajdą sposób, aby skanalizować ową dezorientację (np. poprzez skuteczny związek zawodowy albo silną partię socjaldemokratyczną), wówczas demokracja może funkcjonować pomimo wewnętrznego niezadowolenia. Jeśli tak się nie stanie, wówczas w siłę rosną ideologowie wskazujący wrogów, których należy obwiniać. W tym sensie bez znaczenia jest, kto staje się owym wrogiem – ważny jest proces budowania ruchu politycznego wokół poszukiwania „jakiegoś” wroga.

Jak to zatem jest? Czy faktycznie: „dzisiejsza Polska w niewielkim stopniu przypomina wiejski, «zacofany», dewocyjny, nacjonalistyczny kraj, który istnieje w stereotypach wielu zachodnich Europejczyków”? Czy polska nowa prawica nie podtrzymuje owych stereotypów?

Z całą pewnością w Polsce zdarzają się niepokojące przykłady mowy nienawiści, uprzedzeń, stereotypów i szowinizmu. Jestem ostatnim, kto chciałby lekceważyć te niepokoje. Ale pod tym względem Polska naprawdę nie jest wyjątkiem. W tej chwili Marine Le Pen traktuje się jako poważną kandydatkę na prezydenta Francji – czy Francja ma prawo poniżyć Polskę, określając ją jako tereny „zacofane”? Problemy Polski to problemy Europy – i vice versa.

O międzywojennym obrazie Polaka-katolika napisał Pan następująco: „apostazja była aktem narodowej zdrady tak samo, jak stanowiła niebezpieczeństwo dla duszy konwertyty, a protestancki członek polskiego Senatu był takim samym wrogiem wobec narodu, co i Bismarck”. Czy nie wydaje się Panu, że istnieje odrodzenie tego obrazu? Wojna kulturowa w Polsce wydaje się coraz bardziej przybierać na sile...

A czy kiedykolwiek był czas, kiedy owa wojna kulturowa nie charakteryzowała polskiego życia publicznego? Jasne, nie była ona tak oczywista w czasie PRL-u, ponieważ sama sfera publiczna była ograniczona przez cenzurę i konieczności konfliktu pomiędzy PZPR a opozycją. Ale podziały kulturowe były wówczas równie żywe. Dziś w Stanach Zjednoczonych lamentuje się nad rozpadem politycznego centrum i popularnością skrajnej prawicy, ale gdy uważnie przyjrzy się danym statystycznym, to dostrzeże się, że zawsze istniała niewzruszona część populacji gotowa do wyrażania poglądów ksenofobicznych i szowinistycznych. Tym, co się zmieniło, jest możliwość uzyskania przez takie głosy dostępu do wpływowych mediów i polityków. Sądzę, że podobnie jest w Polsce. Inaczej mówiąc, nie dostrzegam ogólnej intensyfikacji

wrogości ideologicznej w Polsce; zamiast niej widzę wzrost gotowości części polskiej elity do udzielenia głosu tym poglądom, które niegdyś mogły być marginalizowane. W latach 90. niemal każda ważna osoba publiczna w Polsce pilnie pragnęła udowodnić, że kraj jest wystarczająco „dojrzały”, by stać się członkiem wspólnoty rozwiniętych demokracji, a w konsekwencji ekstremiści byli marginalizowani wewnątrz ich własnych obozów. Dzięki temu mogły istnieć takie hybrydowe sojusze polityczne jak AWS, które skutecznie „normalizowały” skrajną prawicę przez zrównywanie jej z centroprawicą. Ostateczny rozłam pomiędzy PiS a PO doprowadził do końca tej epoki. Używając odrobiny akademickiego żargonu, rozwój wówczas był mocno „kontyngentny”, zasadał się na określonych osobowościach i wysoce skontekstualizowanych konfliktach politycznych. Wydaje mi się, że zasadnicze podziały kulturowe w polskim społeczeństwie pozostały mniej lub bardziej stabilne.

Jaki jest Pana stosunek do sukcesów radykalnych ruchów prawicowych w Polsce, takich jak Kongres Nowej Prawicy Janusza Korwin-Mikkego?

Korwin-Mikke był dla mnie niespodzianką, ponieważ reprezentuje formację polityczną, która wydawała mi się w Europie niemożliwa: „konserwatywna” na sposób amerykański. Słowa „liberalny” i „konserwatywny” wywołują mnóstwo transatlantyckiego zamieszania. W USA używamy słowa „liberalny” na określenie tego, co Europejczycy nazywają „socjaldemokratycznym”, a słowa „konserwatywny” – w europejskim sensie „liberalnego”. Mówiąc ściślej, partia republikańska w Stanach Zjednoczonych od lat 70. rozwija się jako połączenie leseferystycznej filozofii ekonomii i tradycjonalistycznych norm kulturowych. W Europie, zwłaszcza w krajach, w których nauczanie Kościoła katolickiego odgrywało znaczącą rolę, partie konserwa-

tywne skłaniały się raczej w stronę interwencjonizmu w kwestiach polityki ekonomicznej. To ma sens: tak zwany wolny rynek jest bardzo szkodliwy dla norm społecznych i tradycyjnych hierarchii, a zatem nie powinniśmy oczekiwać, że konserwatyści będą wspierać kapitalizm rynkowy. Zawsze mi się wydawało dziwne łączenie neoliberalizmu i konserwatyzmu kulturowego w Ameryce, co więcej, rzecz wydawała się nie do powtórzenia poza USA. Ale Korwin-Mikke udowodnił, że nie miałem racji: jeśli pominąć niektóre z jego dziwactw, jego podstawowe założenia pozwoliłyby mu iść ramię w ramię z jakimkolwiek z amerykańskich republikanów. Zważywszy na silne więzy pomiędzy USA a Polską, być może należałoby się spodziewać, że powstanie podobna partia polityczna. Pomimo tego w dalszym ciągu wierzę, że w Polsce brakuje podstaw dla długofalowego sukcesu takich ugrupowań i że Korwin-Mikke nigdy nie przekroczy jednocyfrowego wyniku w wyborach. Oczywiście nawet na takim poziomie może stać się wpływowy.

Kim jest amerykański student?

Ma Pan bardzo dobry kontakt ze studentami. Co decyduje o ich zainteresowaniu studiowaniem polskiej historii?

Zasadnicze są tutaj różnice pomiędzy amerykańskim a europejskim systemem szkolnictwa wyższego. Studenci na uniwersytetach w USA nie wybierają swojej ścieżki specjalizacji tak wcześnie ani też nie podążają nią tak intensywnie, jak ich rówieśnicy w Europie. Mają też o wiele więcej wolności w doborze kursów, które nie mają bezpośredniego znaczenia dla ich przyszłych karier. Mam wrażenie, że to obszar, w którym my, Amerykanie, stworzyliśmy doskonały model wart powielania. A zatem studenci, którzy studiują głównie inżynierię, +

chemię, medycynę, biznes czy też matematykę, mogą wziąć udział w paru kursach historii. W rzeczy samej, na większości uniwersytetów wymaga się od nich, aby wzięli udział w określonej liczbie kursów z zakresu humanistyki albo nauk społecznych, podobnie jak studenci historii muszą zaliczyć parę zajęć z nauk ścisłych, matematyki. Tym samym na moich zajęciach mam mnóstwo studentów, którzy nie zamierzają specjalizować się w jakimkolwiek aspekcie *Polish Studies*, ale którzy mają wrażenie, że odrobina wiedzy o historii Polski może się okazać użyteczna na ich ścieżce zawodowej, niezależnie od tego, jaka ona będzie. I to ma sens: Polska jest w tej chwili znaczącym graczem na arenie europejskiej, z silnymi powiązaniem ze Stanami Zjednoczonymi. Wielu z moich studentów może prześledzić drzewa genealogiczne aż do północno-wschodniej Europy, a zatem oni pierwsi powinni dostrzec rosnącą wagę Polski. Prowadzę kurs historii nowoczesnej Polski na University of Michigan od ponad 20 lat i widzę, że grupa studentów zainteresowanych tymi zajęciami coraz bardziej się powiększa. Rok temu w zajęciach z historii Polski od 1914 roku wzięło udział 86 studentów – to mój nowy rekord. Moi koledzy, którzy uczą o Polsce na innych wydziałach, oraz ci z innych uniwersytetów mają podobne doświadczenia.

Co najbardziej interesuje Pańskich studentów? I objaśnienie jakiego wymiaru polskiej historii sprawia najwięcej trudności?

Najtrudniej pojąć amerykańskim studentom płynność narodowych i etnicznych określeń. Całkiem często podchodzą do mnie studenci z pytaniami typu: „mój pradziadek był ze Lwowa i zawsze mówił, że jest Polakiem. Ale jego brat upierał się przy tym, że jest Ukraińcem, a stare dokumenty ich obu podają, iż byli Austriakami. To kim ja jestem?”. Takim studentom bardzo trudno jest pojąć, że wszystkie z tych określeń są prawdziwe. Amerykanie



zazwyczaj traktują obywatelstwo, miejsce urodzenia i etniczność jako zachodzące na siebie kategorie i trudno jest im pojąć świat, w którym byłyby one całkowicie rozdzielne.

Kolejnym obszarem, który wywołuje zakłopotanie Amerykanów, jest obszar ideologii opozycji antykomunistycznej. Do tej pory wszystko, czego nauczyl się o zimnej wojnie, sprowadzało się do przeciągającego się konfliktu pomiędzy demokracją i kapitalizmem z jednej strony a rządami autorytarnymi i socjalizmem z drugiej. Muszę im wyjaśnić, że ruch robotników był forpcztą oporu wobec PZPR, a żądania solidarnościowe z 1980 roku zawierały postulaty, które sytuowałyby się o wiele dalej na lewo od jakiegokolwiek polityka z USA. Ten problem ma swoje lustrzane odbicie tu, w Polsce, gdzie wielu związkowców „Solidarności” idealizowało Ronalda Reagana, który był zapalonym przeciwnikiem ruchu robotniczego w USA. Zimna wojna doprowadziła do dziwnych sojuszy, a uczenie o nich dzisiaj sprawia, że musimy przewrócić do góry nogami wiele z naszych oczekiwań ideologicznych. •

